

— A inni co na to? — patrzała niespokojnie na zegar.

— Inni?... Wiesz, Winecki poszedł pierwszy do domu, zaniepokoił się, słysząc o Marskim i Orszyckiej i dopiero dowiedziałem się o Bachmackim.

— Wierz mi, Fredziu, że co do Bachmackiego, to płołki... a nie spóźnisz się? Idzie mi o to, ażebyś wcześniej wrócił, bo wiem, że po bigosie musisz iść na piwo.

— Jak ty jednak o mnie pamiętasz, — rzekł rozczulony, — idę już, — spojrział na zegarek, — spóźnię się o pięć minut.

Na pożegnanie ucałowała go serdecznie i zawołała swobodnie za odchodzącym:

— Baw się wesoło, a o swej żonusi dobrze mów!

Mąż schodząc po schodach, chrząknął z wielkiego zadowolenia i szepnął rozczulony:

— Złoto, nie kobieta!

Nasunęło mu się mimowolne porównanie własnej żony z żonami przyjaciół i znajomych. Żaden z nich nie posiada żony tak kochającej, dbającej o męża, o dziecko, tak oszczędnej, a jednak tak zawsze dobrze ubranej, jak właśnie on, Szabelski.

Na ulicy wyprostował swój zazwyczaj zgięty od siedzenia kark, powiódł okiem dumnie dokoła, w tym radosnym przekonaniu, że na tysiąc mężów Pan Bóg jemu jednemu dał doskonałą żonę i takie spokojne, szczęśliwe pożycie małżeńskie.

I nie, żeby umniejszać wielkość doznanej łaski z ręki Pana Boga, ale przez poczucie sprawiedliwości, uznawał, że jest to słuszną nagrodą za jego pracę, staranność, no i za przecierpiane lata pożycia ze świętej pamięci pierwszą żoną.

Prawda, że w posagu wniosła mu protekcję, trochę grosza i meble, ale też była wymagająca i przykra. Siadywała w sklepie, kontrolowała wydanki, a on był poprostu przypięty do spodnicy. Wszędzie była z nim, a na bombkę piwa musiał się przed nią wyklamywać i wykręcać, jak żak przed surowym nauczycielem.

Przypomniał sobie te dwanaście lat małżeńskich, zgiął się znów i z obrzydzeniem splunął, gdy wspominał, ile to ziarenek spalonej kawy zgryzł i połknął, ażeby wrócić do żony, przy kontroli nie było mu czuć z usi piwa lub wódki.

Ta jest zupełnie inna, dobra jak anioł, i sama wyprawia go wieczorami na piwo. Poczul też pewne wyrzuty sumienia, co prawda bardzo lekkie, że swą kochaną żonustę zostawia samą w domu. Obiecał też sobie uroczyście, że już na pewno jutro nie pójdzie na piwo, ale poprowadzi żonę do teatru, zresztą do kina, bo przecież i żona potrzebuje zabawy i rozrywki.

Postanowiwszy to, uprzytomnił sobie, jakie wrażenie robi jego nieobecność na towarzyszach wspólnego stołu. I tak uważają go, zupełnie niestuszenie, za zbyt uległego żonie, i dopiero zaczęły się drwiny i kpiny! Natalcia przecież sama nie chciałaby napewno, ażeby on z powodu jej przyjemnego wieczoru doznał tak wielkiej przykrości od przyjaciół i znajomych, o wiele właściwszem będzie, gdy da jej pieniądze na wstęp, i ona pójdzie wieczorem zabawić się w towarzystwie którejś z przyjaciółek.

Trzeba przyznać, że pan Szabelski tego rodzaju wyrzuty i postanowienia poprawy miewał dwa lub trzy razy na tydzień wieczorem, gdy szedł na piwo, ale gdy wrócił do domu, przespał się, zajęcia codzienne tak go pochłaniały, że często zapominał o swym postanowieniu. Wspominał wprawdzie żonie, że radby z nią pójść kiedy razem wieczorem, Natalcia jednak była tak dobra i wyrozumiała, że czas urzeczywistnienia projektu odkładała do sposobniejszej chwili, i wszystko zostawało po dawnemu.

Co też Natalcia robi teraz? — rozmyślał rozczulony, zbliżając się do restauracji, w której pijał piwo, — pewno szyje coś, naprawia i czuwa nad dzieckiem. I dając folę wezbranemu uczuciu dla żony, kupił w sklepie cukierków dla niej.

Tymczasem Natalcia, po wyjściu męża, zaczęła szybko uprzątać ślady kolacji ze stołu, a sama zaczęła się ubierać gorączkowo w świeżą i nową suknię, spoglądając niespokojnie na zegar ścienny, wskazujący pół do ósmej. Dopiero włożyła spodnicę i przygotowywała stanik, gdy u drzwi wejściowych odezwało się dyskretne pukanie w trzech miarowych odstępach. Był to znak umówiony odwiedzin pana Niedzickiego. Natalcia z odkrytymi ramionami, tylko w gorsecie, podbiegła do drzwi i nie otwierając powiedziała:

— Za chwilę... jestem nieubrana.

— Nie szkodzi, będę ślepy i głuchy, — odpowiedział wesoło i nacisnął klamkę.

— Nie! Nie można!

— Pani Natalciu, ludzie idą po schodach, co sobie pomyślą, gdy mnie obaczą dobijającego się do drzwi? To panią Natalcię skompromituje, jak Bożę kocham. Prędszej! Otwórz!

— Ach, Boże! Co zrobić? A nie wejdzie pan, póki nie powiem: można!



...Zobaczył Irenkę zanoszącą się od płaczu, siną z krzyku.

— Nie! Przysięgam! — zaśmiał się.

Odsunęła zatrząsk, lecz zanim zdążyła skryć się w drugim pokoju, już wbiegł Niedzicki, dopadł ją, objął w pół i ucałował nagle jej ramiona.

— Ach! Co pan robi? — krzyknęła, wyrwając mu się z rąk.

— Dziecko się zbudzi! — całował dalej, — służba posłysz!

— Nie! Nie chcę! — odrzuciła go i wyrwawszy się z objęć, pobiegła przez jadalny pokój do sypialnego.

On skoczył, ażeby ją pochwycić, gdy nagle drzwi od kuchni otworzyły się i weszła Róża. Po szerokich jej ustach przemknął się uśmiech zadowolonej złośliwości, ale natychmiast przybrała wyraz naiwnie bezmyślny i z obojętnością chowała przyniesione talerze do kredensu.

Niedzicki przez chwilę stał jak wrośnięty w ziemię; Natalcia zniknęła w sypialnym pokoju i mówiła spokojnie:

— Za chwilę będę gotowa... może pan zaczeka... Róziu! Przynieś wody do rąk!

— Zaraz, proszę pani, — wyszła z pokoju.

【Gdy wróciła z dzbankiem, pani kazała jej posprzątać w sypialnym, sama zaś, już ubrana,

wyszła do Niedzickiego i zaczęła tonem ceremonialnym:

— Dobry wieczór panu!... Niech pan siada... Przepraszam, że dałam czekać tak długo, ale byłam nieubrana.

— To ja przepraszam, że wszedłem w porze niewłaściwej... Sądziłem, że zastanę pana Szabelskiego... miałem do niego ważny interes, — dobrze grał rolę narzuconą mu przez okoliczności, — czy dawno wyszedł mąż pani?

— Przed chwilą... myślałam, że wrócił i dlatego niezupełnie ubrana otworzyłam drzwi panu, — mówiła głośnie, ażeby Róża posłyszała.

— Gdzie zastanę męża pani? Czy nie mówił pani?... Upredziłem go, że przyjdę.

— O, mój mąż bardzo przykładny, — zaśmiała się, — i zawsze wiem, gdzie idzie. Dziś wieczorem mamy się spotkać, — spojrziała na zegar i dokończyła, — o pół do dziewiątej.

— To wkrótce... pozwoli pani, że będę jej towarzyszył?

— Dobrze... Róziu, podaj mi lekki płaszczyk... wychodzę... dopilnuj dziecka.

— Dobrze, proszę pani, — przyniosła płaszczyk i położyła na krześle.

Wyszli oboje, a na schodach rzekł Niedzicki z uśmiechem uznania:

— Ależ z pani doskonała artystka!

— Ja? — mówiła zdziwiona, — nic nie wiem o tem.

— A ta rozmowa nasza przy Róziu? — śmiał się.

— Jakto? Czy pan mi nie wierzy, że otworzyłam przypadkiem? Czy byłam ubrana? Ja zawsze prawdę mówię i prawdą żyję, — kończyła niemal obrażona.

On zrozumiał grę i natychmiast się zastosował:

— Przepraszam, — rzekł tonem skruchy, — tak mi się zdawało przez chwilę.

— Niechże się panu na przyszłość nie zdaje, — upomniała go sucho, i natychmiast zaczęła wesoło: — cóż robimy z wieczorem? Nie uwierzy pan, ja lubię wyjść tak inkognito z domu i trochę się polumpować.

— Ba, gdyby pani się lumpowała porządnie, — zaśmiał się, — ale w pani siedzi zawsze cnotliwa i trwożliwa burżujka.

— O, co to, to nie! Jestem wolna i samodzielna, drwię z przesądów.

— No, tak! Tak! — uśmiechnął się, — a dziś wieczorem, kto mnie odepchnął? Myślałem, że rękę mam złamaną. I było za co? Co ja gorszego od pana Szabelskiego?

— On jest mój mąż.

— A więc pani jest jego własnością, niewolnicą, gdzie ta swoboda?

— To co innego... nie lubię kradzionych całusów.

— I ja tak samo, zrobmy tedy umowę. Ja nabywam prawo własności, ile pani żąda? Przystaję z góry na warunki.

— A ja nie sprzedaję, — zaśmiała się, — nigdy nie słyszałam o czemś podobnem.

— Człowiek uczy się do końca życia, — powiedział sentencyjnie, — i cieszy mnie, że pani dowiedziała się odemnie o czemś nowem. Ile pani chce za całus?

— Dajże pan pokój... ludzie się oglądają za nami... uważaj pan, — szybko badała oczyma niezbyt jasno oświetloną ulicę i przechodniów.

— Wszyscy mi zazdroszczą pięknej towarzyski, — zaśmiał się.

— Także coś! — uśmiechnęła się, — po nocy nikt nie widzi rysów twarzy.

— Ale widzą, widzą, i zachwycają się kapelusikiem, figurą, pięknym chodem, strojną suknią.

— O, to już nieprawda! — zaśmiała się, — bo płaszczyk zakrywa suknię.

— Co zakryte i zakazane, to najbardziej nęci, — mierzył namiętnymi oczyma jej postać, — a więc i suknia zakryta.

(Ciąg dalszy nastąpi).